

Rozdział pierwszy

niedziela, 5 czerwca 2005

Wielki sukces reaktywowanego Jarocina, dziesięć tysięcy ludzi słuchało Dżemu, Armii i TSA. Pokolenie JP2 uczestniczyło w corocznym spotkaniu modlitewnym na Lednicy. Zbigniew Religa ogłosił, że będzie kandydował na prezydenta i że chce być „kandydatem zgody narodowej”. Na jubileuszowym dziesiątym pikniku lotniczym w Góraszce pojawiły się dwa myśliwce F-16, wzbudzając entuzjazm zgromadzonych. W Baku polska reprezentacja rozgromiła w kiepskim stylu Azerbejdżan 3:0, a trener Azerów pobił sędziego. W Warszawie policjanci wręczali kierowcom makabryczne zdjęcia ofiar wypadków ku przestrodze, na Mokotowie zapalił się autobus linii 122, a na Kinowej wywróciła się karetka wioząca wątrobę do przeszczepu. Kierowca, pielęgniarka i lekarz trafili z potłuczeniami do szpitala, wątroba ocalała i tego samego dnia została przeszczepiona pacjentowi kliniki na Banacha. Maksymalna temperatura w stolicy 20 stopni, przelotne opady.

1

– Pozwólcie, że opowiem wam bajkę. Dawno, dawno temu w niewielkim prowincjonalnym mieście żył sobie cieśla. Ludzie w miasteczku byli biedni, nie stać ich było na nowe stoły i krzesła, więc i cieśla był ubogi. Z trudem wiązał koniec z końcem, a im był starszy, tym mniej wierzył, że los może się odmienić, chociaż pragnął tego jak nikt inny na świecie, miał bowiem piękną córkę i chciał, aby w życiu wiodło jej się lepiej niż jemu. Pewnego letniego

dnia do domu stolarza zawitał możny pan. „Cieślo – powiedział – przyjeżdża do mnie mój z dawna niewidziany brat. Pragnę podarować mu olśniewający prezent, a ponieważ przybywa on z kraju obfitującego w złoto, srebro i drogie kamienie, postanowiłem, że będzie to nadzwyczajnej piękności drewniana szkatuła. Jeśli uda ci się zrobić ją do niedzieli po najbliższej pełni, nigdy już nie będziesz narzekał na biedę”. Cieśla oczywiście się zgodził i natychmiast przystąpił do pracy. Była to robota wyjątkowo żmudna i trudna, chciał połączyć wiele gatunków drewna i ozdobić szkatułę miniaturowymi rzeźbami baśniowych stworów. Mało jadł, nie spał prawie wcale, tylko pracował. Tymczasem wieść o wizycie możnego pana i niecodziennym zleceniu szybko rozniosła się po miasteczku. Jego mieszkańcy bardzo lubili skromnego cieślę, codziennie ktoś przychodził z dobrym słowem i próbował pomóc mu w snycerce. Piekarz, kupiec, rybak, nawet szynkarz – każdy z nich łapał za dłuta, młoteczki i pilniki, chcąc, aby cieśla skończył pracę w terminie. Niestety, żaden z nich nie potrafił wykonać jego roboty i córka cieśli ze smutkiem patrzyła, jak ojciec, zamiast rzeźbić w skupieniu szkatułę, poprawia to, co zepsuli jego przyjaciele. Któregoś ranka, kiedy do wykonania pracy zostały już tylko cztery dni, a zrozpaczony rzemieślnik rwał sobie włosy z głowy, jego córka stanęła przed drzwiami chaty i przepędzała każdego, kto przychodził z pomocą. Całe miasteczko obraziło się na nich, nikt już nigdy o cieśli nie mówił inaczej, jak o gburze i niewdzięczniku, a o jego córce jak o niewychowanej starej pannie. Chciałbym wam powiedzieć, że cieśla co prawda stracił przyjaciół, ale za to oczarował możnego pana swoją misterną robotą, ale nie byłaby to prawda. Bo kiedy w niedzielę po pełni przybył do jego domu możny pan, zaraz odjechał wściekły i z pustymi rękami. Dopiero wiele dni później cieśla ukończył szkatułę i podarował ją swojej córce.

Cezary Rudzki skończył opowiadać, odchrząknął i nalał sobie z termosu kawy do kubka. Trójka jego pacjentów,

dwie kobiety i mężczyzna, siedziała po drugiej stronie stołu, brakowało tylko pana Henryka.

– Jaki z tego płynie morał? – zapytał mężczyzna siedzący po lewej stronie, Euzebiusz Kaim.

– Taki, jaki sami w nim odnajdziecie – odpowiedział Rudzki. – Ja wiem, co chciałem powiedzieć, ale wy wiecie lepiej ode mnie, co chcecie zrozumieć i jaki sens jest wam teraz potrzebny. Bajek się nie komentuje.

Kaim zamilkł, Rudzki też nic nie mówił, gładząc siwą brodę, która, zdaniem niektórych, upodobniała go do Hemingwaya. Zastanawiał się, czy powinien jakoś się odnieść do zdarzeń poprzedniego dnia. Zgodnie z zasadami, nie powinien. Ale mimo to...

– Korzystając z tego, że nie ma pana Henryka – powiedział – chciałbym przypomnieć wszystkim, że nie tylko bajek nie komentujemy. Nie komentujemy także przebiegu terapii. To jedna z podstawowych zasad. Nawet jeśli jakaś sesja była tak intensywna jak wczoraj. Tym bardziej powinniśmy milczeć.

– Dlaczego? – zapytał Euzebiusz Kaim, nie podnosząc głowy znad talerza.

– Ponieważ wówczas zakrywamy słowami i próbami interpretacji to, co odkryliśmy. Tymczasem prawda musi zacząć działać. Znaleźć drogę do naszych dusz. Byłoby nieuczciwe, wobec nas wszystkich, zabić tę prawdę przez akademickie dyskusje. Proszę mi wierzyć, że tak jest lepiej.

Dalej jedli w milczeniu. Czerwcowe słońce wpadało przez wąskie, przypominające otwory strzelnicze okna i malowało ciemną salę w świetliste pasy. Pomieszczenie było bardzo skromne. Długi drewniany stół, nienakryty obrusem, kilka krzeseł, krucyfiks nad drzwiami. Szafka, elektryczny czajnik, mikroskopijna lodówka. Nic więcej. Kiedy Rudzki odkrył to miejsce, samotnie w samym centrum miasta, był zachwycony. Sądził, że kościelne pomieszczenia bardziej będą sprzyjały terapii niż wynajmowane do tej pory gospodarstwa agroturystyczne. Miał rację. Mimo

że w budynku mieścił się kościół, szkoła, przychodnia lekarska i kilka prywatnych firm, a obok przebiegała Trasa Łazienkowska, czuło się tu wielki spokój. A właśnie tego najbardziej potrzebowali jego pacjenci.

Spokój miał swoją cenę. Nie było tu zaplecza kuchennego, sam musiał kupić lodówkę, czajnik, termos i komplet sztućców. Obiady zamawiał na mieście. Mieszkali w jednoosobowych celach, poza tym mieli do dyspozycji refektaryj, w którym teraz siedzieli, i niedużą salkę, gdzie odbywali sesje. Salka z krzyżowym sklepieniem, wspartym na trzech grubych kolumnach. Nie była to krypta Leonarda, ale w porównaniu z pokojem, gdzie zwykle przyjmował pacjentów – prawie.

Teraz jednak zastanawiał się, czy nie wybrał miejsca zbyt mrocznego, zbyt zamkniętego. Miał wrażenie, że uwalniane w czasie sesji emocje zostawały pomiędzy murami, odbijały się od nich jak kauczukowa piłka i trafiały rykoszetem każdego, kto miał pecha tam się pojawić. Był ledwo żywy po wczorajszych wydarzeniach i cieszył się, że wkrótce to się skończy. Chciał stąd wyjść jak najszybciej.

Wypił łyk kawy.

Hanna Kwiatkowska, siedząca naprzeciwko Rudzkiego trzydziestopięciolatka, obracała w palcach łyżeczkę, nie spuszczając z niego wzroku.

– Tak? – zapytał.

– Martwię się – odparła drewnianym głosem. – Już kwadrans po dziewiątej, a pana Henryka nie ma. Być może powinien pan pójść i sprawdzić, czy wszystko w porządku, panie doktorze.

Wstał.

– Sprawdź – powiedział. – Myślę, że pan Henryk odspia po prostu wczorajsze emocje.

Wąskim korytarzykiem (wszystko w tym budynku było wąskie) doszedł do pokoju Henryka. Zastukał. Nic. Zastukał jeszcze raz, bardziej zdecydowanie.

– Panie Henryku, pobudka! – krzyknął przez drzwi.

Odczekał jeszcze sekundę, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pusto. Łóżko zasłane, brak rzeczy osobistych. Rudzki wrócił do refektarza. Trzy głowy zwróciły się jednocześnie w jego kierunku, jakby wyrastały z jednego tułowia. Przypomniawszy sobie smoki z ilustracji w książkach dla dzieci.

– Pan Henryk nas opuścił. Proszę, żebyście nie brali tego do siebie. Nie pierwszy i nie ostatni raz pacjent rezygnuje z terapii dość gwałtownie. Zwłaszcza po tak intensywnej sesji jak wczoraj. Mam nadzieję, że to, czego doświadczył, zadziała i będzie mu lepiej.

Kwiatkowska nawet nie drgnęła. Kaim wzruszył ramionami. Barbara Jarczyk, ostatnia z trójki, do niedawna czwórki, jego pacjentów, spojrzała na Rudzkiego i zapytała:

– Czy to koniec? Czy możemy w takim razie iść do domu?

Terapeuta pokręcił głową.

– Proszę, żebyście poszli na pół godziny do swoich pokoi, odpoczęli, uspokoiłi się. Punkt dziesiąta spotykamy się w salce.

Cała trójka, Euzebiusz, Hanna i Barbara, pokiwali głowami i wyszli. Rudzki przeszedł wokół stołu, sprawdził, czy w termosie jest jeszcze kawa, i nalał sobie pełny kubek. Zaklął, bo zapomniał zostawić miejsce na mleko. Teraz miał do wyboru: wylać albo upić. Nie cierpiał smaku czarnej kawy. Odlął trochę do kosza na śmieci. Dodał mleka i stanął przy oknie. Patrzył na samochody przejeżdżające ulicą i na stadion po drugiej stronie. Jak te pataluchy mogły znowu przegrać ligę, pomyślał. Nie będą nawet wice mistrzami, na nic się zdało upokorzenie Wisły i wygrana 5:1 przed dwoma tygodniami. Ale może przynajmniej uda im się zdobyć puchar, jutro pierwszy półfinałowy mecz z Groclinem. Z Groclinem, z którym przez ostatnie cztery lata Legia ani razu nie wygrała. Znowu jakaś cholerna kłątwa.

— | | —
Zaśmiał się cicho. Niewiarygodne, jak działa ludzki mózg, skoro potrafi teraz roztrząsać sytuację ligową. Spojrzał na zegarek. Jeszcze pół godziny.

Tuż przed dziesiątą opuścił refektarz i poszedł do łazienki umyć zęby. Po drodze minął Barbarę Jarczyk. Spojrzała pytająco, widząc, że idzie w przeciwnym kierunku niż salka.

– Zaraz będę – powiedział.

Nie zdążył nałożyć pasty, kiedy usłyszał krzyk.